

The background of the cover is a warm, golden-yellow textured surface. At the top, a steam locomotive is crossing a metal truss bridge over a river. Below the title, a woman in a red and white striped shirt and dark pants stands with her back to the camera, looking out a large window. An airplane is visible flying in the sky outside the window. A black suitcase is on the floor next to her.

AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL

SIOSTRY

KRESY. ZSYŁKA. WIELKI ŚWIAT.

FRONDA

*"Kto nie więcej daje aniżeli otrzymał – jest zerem
i jego przyjsie na świat uznać można za zbyteczne."*

Multatuli

AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL

SIOSTRY

KRESY. ZSYŁKA. WIELKI ŚWIAT.

FRONDA

Okładka

Radosław Krawczyk

Redakcja i korekta

Ewa Popielarz

Skład i łamanie

Point plus

Copyright © 2106 by Agnieszka Lewandowska-Kąkol

Copyright © 2016 for Fronda PL, Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8079-032-2

Wydawca

Fronda PL, Sp. z o. o.

ul. Łopuszańska 32

02-220 Warszawa

tel. (22) 836 54 44

fax (22) 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl

www.wydawnictwofronda.pl

www.facebook.com/FrondaWydawnictwo

Większość przedstawionych w książce wydarzeń jest prawdziwa, ale ewentualna zbieżność z rzeczywistością imion, nazwisk, czy nazw geograficznych jest przypadkowa.

1

Ledwo pociąg ruszył, mijając kolejne sektory opustoszałego peronu, a już z korytarza dało się słyszeć: kawa, herbata, kapiatok, kawa, herbata... Barbara kupiła małą kawę. Potem żałowała, że małą, bo przedsiębiorczy konduktor wszystkie napoje oferował w tej samej cenie. Pewnie dopiero dwie duże kawy pomogłyby jej pozbyć się uczucia senności. Mała, i to w dodatku nie za mocna, tylko je wzmogła. Miała za sobą nieprzespaną noc, spędzoną na twardym, rozpadającym się krzeselku, jednym z pięciu, które stanowiły siermiężne umeblowanie komisariatu milicji. Trafiła tam prosto z moskiewskiego dworca, na którym zatrzymała się w drodze ze swojego miasta, by przesiąść się do pociągu jadącego już bezpośrednio do Warszawy. Podczas kontroli okazało się, że jej bilet nie ma jednego stempla, a zatem jest wielce podejrzanym i sprawę jego zakupu należy niezwłocznie wyjaśnić. Jak spod ziemi wyrosło przed nią natychmiast dwóch funkcjonariuszy, którzy gestami nieznoszącymi sprzeciwu wskazywali jej drogę na posterunek. Tam opasły kapitan w poprzecieranym na kolanach i łokciach mundurze przesłuchanie rozpoczął

nie od pytania o to, gdzie kupiła bilet i dlaczego nie sprawdziła go dokładnie, ale ni stąd, ni zowąd zagadnął, jak miał na imię jej dziadek ze strony matki. Kiedy omówili członków najbliższej rodziny Barbary, na ściennym zegarze było po dwudziestej, a pociąg, którym miała wyruszyć do Polski, dawno już odjechał.

Sprawa wydawała się pomyślnie załatwiona, sam kapitan odciśnął na bilecie brakującą pieczętkę. Do odjazdu następnego pociągu na tej samej trasie zostały jednak całe dwadzieścia cztery godziny. Co było robić? Barbara skorzystała z uprzejmego zaproszenia milicjantów i usiadła na korytarzu, próbując się choć trochę zdrzemnąć. Nie było to łatwe. Samo krzesło mogłoby raczej znaleźć zastosowanie w sali tortur, niż służyć do celów wypoczynkowych, a do tego oczy raziło niezwykle ostre, jarzeniowe światło, z którego nawet w nocy nie rezygnowano. Rano dwaj dżentelmeni w równie wyświechtanych jak u kapitana mundurach odprowadzili Barbarę z powrotem na dworzec, aby przypadkiem nie zgubiła się w stolicy. Opowiadała później kuzynom w Polsce, z pełną powagą i przekonaniem, jak to ich władza troszczy się o szeregowego obywatela.

Kiedy wsiadała do wyczekiwanego pociągu, myślała, że najgorsze, co miało ją spotkać w tej, od przeszło roku planowanej, podróży, ma już za sobą. Okazało się jednak, że bilet jest co prawda w jak najlepszym porządku, ale brakuje do niego miejscówki, którą miała wykupioną na dzień poprzedni. Życzliwie zaoferowano jej miejsce odkładane na korytarzu, co przyjęła z westchnieniem ulgi, gdyż przerażała ją nieco perspektywa całonocnej jazdy na stojąco. Skromny bagaż ustawiła tak, żeby nie przeszkadzał przechodzącym pasażerom, i już spokojnie mogła wypić zamówioną kawę. Potem oparła głowę o – nie wiedzieć

dlaczego – lepką ściankę odgradzającą przedział od korytarza, przymknęła oczy i natychmiast pod jej drgającymi powiekami zaczęły przesuwać się obrazy, które wcześniej nigdy jej nie nawiedzały. A przecież od wydarzeń, których były świadectwem, minęło ponad trzydzieści lat. Oto stłoczone w bydłym wagonie stoją wszystkie cztery, mama, Ludmiła, Helena i ona. Jadą w nieznaną, nie wiedząc, ile dni mają już za sobą. Właśnie się zatrzymali, ale nie słysząc, by w którymkolwiek wagonie odryglowywano drzwi, co zawsze było sygnałem, że pojawi się ciecza dumnie zwana zupą. Usłyszeli za to warkot nadlatującego samolotu. Ktoś stojący najbliżej jedyne okienka krzyknął, że to Niemcy. Zesłańcy przez niewielkie otwory zaczęli wystawiać ręce z białymi chustkami, by dać znać, że pociąg wiezie cywilów, zaś rosyjscy żołnierze szybko schowali się pod wagonami. Gdy mieli już wrażenie, że samolot zawraca, jeden z Rosjan wystrzelił z ręcznego karabinu. W odpowiedzi Niemcy otworzyli ogień. Po chwili, jako wsparcie w walce, pojawił się drugi samolot. Ogłuszająca kanonada karabinów maszynowych nie ustawała. Pociski zabiły jedną z osób w ich wagonie i podpaliły frontową ścianę. Wagon stanął w ogniu. Ludzie zaczęli walić w drzwi, ale nikt nie otwierał. Duszący dym wdzierał się do płuc, a przerażone oczy śledziły ogromne jęzory ognia błyskawicznie rozprzestrzeniające się po kolejnych ścianach. Krzyki, jęki, nawoływania, urywane słowa znanych modlitw – wszystkie te odgłosy łączyły się w jeden beznadziejny chór uwięzionych. W pewnym momencie poczuli powiew świeżego powietrza. Komuś udało się wyrwać z drzwi jedną z desek. Ruszyli w tym kierunku i napór przeszło pięćdziesięciorga zdesperowanych ludzi spowodował, że kolejne deski zaczęły ustępować. Gdy pierwsi z zesłańców zeskoczyli na

ziemię, zamarli w bezruchu. Tuż przed nimi stał rosyjski żołnierz z wycelowanym w ich stronę karabinem. Myśl, że czekał tu, aż usmażą się w płonącym wagonie, sprawiła, że wpadli w furię. Decyzja zapadła natychmiast – nim Rosjanin pociągnął za spust, na jego głowie wylądowała płonąca deska.

– *Grazdanka*, dlaczego wy krzyczycie? – zdziwił się jakiś grubas, którego wielki brzuch otarł się o torbę Barbary, gdy ten przeciskał się do toalety. Lekko nieprzytomna wstała i z trudem wróciła do rzeczywistości. Zaczęła jeść kanapkę, którą zabrała z domu, mając nadzieję, że to zmniejszy jej senność. Ale teraz, nawet gdy nie przymykała oczu, wspomnienia wracały całymi strumieniami, niechciane opadały ją, przywołując do świata minionego, który – choć dotąd nie zdawała sobie z tego sprawy – wciąż tkwił w niej, uśpiony jedynie przez te wszystkie lata niełatwego, ale w gruncie rzeczy szczęśliwego życia.

Jurija kochała pierwszą, wielką i jedyną miłością. Innej nie zaznała. Niepozorny, niewysoki, ot, taki przeciętny, szary mężczyzna, starszy od niej o dwadzieścia kilka lat. Uratował ją, gdy groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Oskarżona o kradzież dwóch kromek chleba, których nie tylko nie wzięła, ale nawet nie widziała, nie miała szans na jakąkolwiek obronę. Chleb w tamtych warunkach stanowił skarb nieporównywalny z niczym innym, więc i prawa własności do niego przestrzegano niezwykle surowo. Jurij skłamał dla niej, mimo że nie miał żadnego dowodu na jej niewinność. Spojrzawszy w te szare, zmrożone strachem oczy, stanowczo oświadczył, że w czasie, kiedy kradzieży dokonano, Barbara była z nim. Wdzięczność sprawiła, że zaczęli się spotykać, a stopniowo w sercu dziewczyny narodziło się uczucie. Był dobry, zrównoważony, miał piękny aksamitny baryton,

którym recytował dla Basi pisane przez siebie, niezrównane w jej oczach, wiersze. Ach, jakaż to była niezwykła poezja. Dotąd Barbara zaczytywała się w liryce romantyków. Chłonęła Goethego, Byrona, Słowackiego, najmniej lubiła Mickiewicza, którego wiersze w za dużej dawce zaserwowano im w szkole. Zatapiała się w tych wyimaginowanych światach, zapominając często o realnym. Z radością karmiła się wyszukany, na swój sposób pięknym, ale i hermetycznym, językiem, przenosząc całe jego frazy do mowy potocznej. Niekiedy siostry śmiały się z jej górnolotnych wyrażań, lecz Barbarze bardziej odpowiadały te poetyzmy niż szorstkość i coraz obficie panoszące się w potocznej mowie wulgaryzmy. Wiersze Jurija były zupełnie inne. Pozbawione patosu i mnogości przymiotników, lakoniczne, ale nie suche. Oszczędność słów sprawiała, że każde miało wagę całego wersu, a nawet strofy. Prezentowany przez niego w wierszach tok myślenia był z kolei tak Barbarze bliski, jakby to ona sama przekładała na poetycki kod swoje przemyślenia. Diagnoza zjawisk trafiała w sedno, a muzyczność frazy dodawała spostrzeżeniom powabu. Była pewna, że gdyby Jurij urodził się w innym miejscu na świecie, dawno by już doceniono jego talent. W Kazachstanie, w karnym łagrze odbywał pięcioletni wyrok za dezercję, a raczej za niestawienie się do służby w Armii Czerwonej. Był pacyfistą, nie zamierzał walczyć po żadnej ze stron, zasilać żadnego wojska, zabijać w niczym imieniu, choć Rosję kochał szczerze i uważał się za patriotę.

Nieraz, już na zesłaniu, zastanawiały się, czy gdyby zaczęły się ukrywać po aresztowaniu ojca, nie zostałyby wywiezione. Barbara podchodziła do tego inaczej niż matka i siostry. Przecież gdyby ich nie wywieziono, nie poznałaby Jurija. Kiedy po trzy-

tygodniowej podróży wysiadły z pociągu, z dużym trudem utrzymywały się na nogach. Zadbano, by przyzwyczyły się do stąpania po sowieckiej ziemi – dwie pełne doby przetrzymano zesłańców w miejscu, w którym dotknęli jej stopą po raz pierwszy. Marzec na tamtym terenie to jeszcze pełnia zimy. Wszędzie zalegiwały niezmierzone połacie śniegu, zasyły sięgające po pas i do tego mróz, który, szczególnie na początku, utrudniał normalne oddychanie. Aż dziw, że większość zesłańców przetrwała te czterdzieści osiem godzin. Zmarło tylko troje malutkich dzieci i chorująca od początku podróży staruszka. Dalszą drogę ich czwórka pokonała dwukołowym wozem, zwanym przez tubylców arba, ciągniętym przez dwa woły. Niskie baraki porozrzucały się wśród stepowych roślin bez jakiegokolwiek porządkującej zasady, bez dróg, ulic, ot, tak, jakby ktoś z wysoka rzucił na ziemię dwadzieścia klocków i te, rozsypując się, upadły w zupełnie przypadkowych miejscach. We wnętrzach, śmierzących odchodami zwierząt, bo wcześniej rezydowały tam świnie, nie było łóżek ani jakichkolwiek sprzętów przeznaczonych do spania. Trzeba było pójść w pole, nazbierać suchej trawy i zrobić legowiska. W całej osadzie znajdowała się tylko jedna studnia. Niektóre baraki były od niej oddalone nawet o pół kilometra. Wokół, w promieniu pięciu kilometrów, rozciągały się kołchozowe pola, na których duża część zesłańców pracowała. Po zakończeniu zbiorów przeszło połowę plonów przekazywano do magazynów rządowych, a resztę dzieliło się przez liczbę wyrobionych „truda-dni”. Pieniężną rekompensatę, jeżeli o takiej można mówić, wypłacano więc z dużym opóźnieniem. W baraku sąsiadującym z tym, który zajęły we czwórce, leżało kilkanaście wychudłych kobiet, nazywanych przez wszystkich

„monaszkami”. Były to prawosławne zakonnice, które odmówiły chodzenia do pracy i spędzały czas na modlitwie. Wedle tamtejszej zasady – nie pracujesz, więc nie jesz – otrzymywały minimalne racje żywnościowe: trochę wody i kawałek chleba na dzień. Nieugięte w swych przekonaniach, zmarły w głodowych męczarniach po kilku dniach od przyjazdu Barbary z rodziną.

Na kołchozową społeczność składały się trzy grupy narodowościowe. Najliczniejszą stanowili Ukraińcy, przesiedleni tam w latach przedwojennych. Oni sprawowali kierownicze stanowiska i podejmowali wszelkie decyzje, stanowili warstwę uprzywilejowaną. Tak jak Ukraińcy byli wrogo nastawieni do Polaków, tak ich z kolei zdecydowanie nie lubili tubylcy, przeważnie przedstawiciele rasy mongolskiej, przyjaźnie odnoszący się do polskich zesłańców, z których większość została tam wywieziona na początku wojny z okolic Lwowa i Wilna. Jedna linia telefoniczna, łącząca kołchozowy urząd z najbliższym miasteczkiem, i kilka traktorów to wszystkie osiągnięcia cywilizacyjne tego miejsca, w którym przyszło przeżyć rodzinie Barbary półtora roku. A w zasadzie trzem siostróm, bowiem mamie nie dane było doczekać 30 lipca 1941 roku, kiedy to zawarto układ Sikorski–Majski.

Przenikliwy pisk kół zmuszonych do gwałtownego tarcia o szyny wdarł się do uszu zatopionej we wspomnieniach Barbary tak nagle, że przez chwilę nie zdawała sobie sprawy, jaka jest jego przyczyna i skąd dochodzi. Potem poczuła ostre szarpnięcie, jakby uderzyli czołowo w jakąś przeszkodę, i pociąg stanął. Przez okno, naprzeciwko którego siedziała, niewiele było widać, tylko wąski szpaler usychającego tu i ówdzie żywopłotu, który, ciągnąc się kilometrami, okalał trasę przejazdów. Miał zasłaniać coś,

czego nie było. Jednak jego nieznaczna wysokość i żalony stan tworzących go roślin sprawiały, iż kolosalne połacie nieużytków i tak były doskonale widoczne. Ludzie zaczęli wychodzić z przedziałów, by sprawdzić, co jest przyczyną postoju. Wokół robiło się coraz głośniejsze od rozlicznych komentarzy. Nie trwało to jednak długo. Z dwóch stron do wagonu wsiedli żołnierze, bynajmniej nie w kolejarskich mundurach, i gromkim nawoływaniem wzywali pasażerów do powrotu do przedziałów, które teraz zamykali na klucz. Ogłoszono również zakaz otwierania okien.

– *Nu grażdanka*, a wy co? Do przedziału!

– Nie mam w tym pociągu swojego miejsca i za zgodą konduktora podróżuję na korytarzu – odpowiedziała po rosyjsku Barbara.

– Tak być nie może – stwierdził kategorycznie rosły wąsacz i stanowczym, acz zaskakująco delikatnym ruchem wepchnął Barbarę do najbliższego przedziału, zamykając go za nią na klucz. Walizka pozostała na korytarzu. Na sześciu zajętych kuszetkach nie było już dla niej miejsca, stała więc przez jakiś czas niepewnie, aż jedna z pasażerek zaproponowała, by przysiadła na jej pośladku. Na zewnątrz, wokół pociągu, dało się słyszeć nawoływania, gwizdy i głośnie rosyjskie przekleństwa. Przed oczami Barbary znów stanął obraz z podróży na zesłanie. Na jednym z postojów, kiedy odryglowano drzwi, by oczyścić wagon z ciał kolejnych zmarłych, odkryto w rogu kobietę, która w ramionach trzymała nieżyjące już od dłuższego czasu niemowlę. Nie chciała się z nim rozstać, tuliła je, głaskała i obcałowywała. Z zewnątrz, tak jak teraz, dochodziły gwizdy ostrzegające zesłańców przed niekontrolowanym oddalaniem się i głosy nawołujące enkawudzystów do pośpiechu. Jeden z nich, przechodząc wzdłuż pociągu, jakby mimochodem wydarł maleństwo z troskliwych ramion rodzi-

cielki i rzucił je daleko w zwały śniegu. Matka zaczęła przeraźliwie krzyczeć i nikt nie potrafił jej uspokoić. Zaryglowano drzwi i skład ruszył. Kobieta przez długi czas jeszcze krzyczała, po czym zaczęła wydawać z siebie przejmujące jęki, by wreszcie zamilknąć. Na następnym postoju wywleczono ją z wagonu, a wyraz jej twarzy wskazywał na to, że postradała zmysły.

Barbara dużym wysiłkiem woli powróciła do rzeczywistości, gdy wszyscy podróżni z przedziału poderwali się i stanęli przy oknie, z zaciekawieniem coś obserwując. Wspięła się na palce, by móc cokolwiek dojrzeć. Tuż koło żywopłotu leżała otwarta puszka, prawdopodobnie po jakiejś wędlinie, a wokół stało trzech osobników w mundurach, którzy bacznie się jej przyglądali. Jeden z nich miał w rękach detektor do wykrywania niewybuchów. Nieco zdziwiona Barbara rzuciła z lekkim rozbawieniem:

– Czyżby ktoś w puszcze przewoził dynamit?

Nikt nie zareagował. Pasażerowie nadal z napięciem śledzili poczynania wojskowych. Wreszcie badanie zakończono, puszka okazała się niegroźna i mundurowi wrócili do pociągu, pozostawiając ją tam, gdzie ją zastali. Jeden z pasażerów z ulgą stwierdził:

– Dobrze, że wożą z sobą takie urządzenia, zawsze człowiek czuje się bezpieczniej.

Otwarto przedziały, ale nadal obowiązywał zakaz otwierania okien. Barbara wróciła na swoje miejsce. Popatrzyła na zegarek – w polu stali przeszło półtorej godziny.

– Zbliżamy się do granicy, proszę przygotować dokumenty do kontroli! – huknął nad uchem Barbary cuchnący alkoholem konduktor.

W wagonie zaczął się ruch, ludzie zdejmowali bagaże z półek, wyciągali torebki, wertowali dokumenty, na niektórych twarzach

pojawił się strach. Może przewozili jakieś niedozwolone, nieumieszczone w regulaminie celnym przedmioty, mieli za dużo pieniędzy albo, tak jak Barbara, przekraczali tę granicę po raz pierwszy? Ona była najspokojniejsza w świecie, miała przecież paszport, zaproszenie, bilet, a do deklaracji celnej nie potrzebowała niczego wpisywać, gdyż wiozła, oprócz minimalnej ilości osobistych rzeczy, tylko kilka symbolicznych pamiątek, przede wszystkim dla kuzynki z Warszawy, która swoją wytrwałością i pomysłowością doprowadziła ten wyjazd do skutku. Przygotowała też drobiazgi dla Heleny i Ludmiły. Z tą ostatnią nie planowała się spotkać, ale miała nadzieję, że Hela przekaze jej upominek. Paszport i bilet były w porządku, sprawdzali je przecież wcześniej na posterunku w Moskwie i funkcjonariusz oddał je bez zastrzeżeń.

Nadeszła jej kolej na sprawdzenie bagażu. Kiedy Barbara otworzyła walizkę, z niedowierzaniem dojrzała zapisaną, zmiętą kartkę leżącą w rogu. Chciała po nią sięgnąć, ale celnik był szybszy.

– O, jakieś ważne notatki przewozicie!

– Nie wiem, skąd się to tu wzięło. To nie jest moje pismo.

– Zobaczymy, zobaczymy, trzeba będzie to wyjaśnić. Aleksiej, chodź no tu! – wrzasnął na cały wagon do znajdującego się na początku korytarza celnika.

Funkcjonariusze poszeptali między sobą i jeden z nich zwrócił się do Barbary:

– Proszę za mną, obywatelko. Poniosę wam walizkę.

Ruszyli do wyjścia. Barbara była zszokowana. Skąd ta kartka się u niej wzięła? Przecież notes ma w torebce i gdyby chciała cokolwiek zapisać, nie musiałaby do tego używać luźnych świstków papieru.

Dotarli do budynku straży granicznej. Celnik nakazał, by usiadła na korytarzu, a sam, z jej walizką, wszedł do pokoju. Co chwilę ktoś stamtąd wychodził, inny wchodził, a Barbara wciąż czekała, nie wiedząc nawet, ile czasu już minęło. Wreszcie ją poproszono. Za biurkiem siedział celnik, w rozchełstanej koszuli i z mocno zaczerwienioną twarzą. Kiedy zwrócił się do Barbary, poczuła woń alkoholu.

– Obywatelka pójdzie teraz z obywatelką porucznik.

Znienacka wyrosła przed nią grubo ciosana kobieta w służbowym, trochę przyciasnym kostiumie. Bez słowa wskazała drzwi znajdujące się po drugiej stronie pokoju, naprzeciwko tych prowadzących na korytarz. Barbara doskonale wiedziała, co to oznacza. Co prawda podczas wojny uniknęła śledztwa, ale na zesłaniu nasłuchiwała się wielu przerażających opowieści. Przypomniała sobie, jak jedna z pracujących nieopodal kobiet opowiadała, jak była badana – bo tak to się często określało – w więzieniu urządzonym w starym zamczysku, niegdysiejszej siedzibie książąt Szujskich, w Mińsku. Bogato zdobione komnaty zamieniono w cele, a w przestronnych piwnicach, służących niegdyś do przechowywania przednich win i spożywczych zapasów, urządzono pokoje śledcze, ciemnice, karcery, katownie, z których dobywały się budzące grozę dźwięki.

– *Rozbierajties!*

Rewizja osobista na szczęście obyła się bez sprawdzania narządów wewnętrznych i kobiety wróciły do ponurego celnika. Widać upijał się na smutno.

– No i co, obywatelko, po co wam te nazwiska, adresy? – Rzucił na biurko kartkę wydobytą z jej walizki. – Mówcie, co wiecie na temat osób, których nazwiska zapisaliście!

Barbara spojrzała na pięć nazwisk z pewną otuchą w sercu. Żadne nie było jej znane, a więc jej rodzinie nic nie groziło.

– Nie znam ani jednego z tych nazwisk i nie ja je zapisywałam. To przecież nie mój charakter pisma. Sprawdźcie, jak piszę, i puśćcie mnie do pociągu, bo odjedzie beze mnie, a ja i tak już dawno powinnam być w Warszawie!

– Nie gorączkujcie się tak! Ta wasza Warszawa nie zając, nie ucieknie – próbował żartować śledczy. – Tyle czasu jej nie widzieliście, a teraz tak wam pilno?

Barbara nie odpowiedziała, widząc, że jakakolwiek dyskusja nie ma sensu.

– Siadajcie tu. – Przysunął jej krzesło z drugiej strony biurka. – Macie czystą kartkę. Przepiszcie te wszystkie nazwiska z waszej listy.

– To nie jest moja lista – burknęła pod nosem, bo nie chciało jej się tłumaczyć po raz kolejny, i zaczęła pisać.

Gdy skończyła, kazano jej wyjść na korytarz. Była zadowolona, że jest już po rozmowie i że na kartce nie kazano się jej podpisać. Słyszała bowiem o przypadkach, co prawda jeszcze z wojennych czasów, kiedy po uzyskaniu podpisu na czystej kartce, dopisywano u góry szereg zarzutów i okazywało się, że oskarżony przyznał się do wszystkiego. Inne to były czasy, ale czy w tym kraju rzeczywiście tak wiele się zmieniło? Niepokoiło ją, że zbyt długo siedzi beczynn timer. Była już prawie pewna, że na pociąg nie zdąży. Minęła ponad godzina, kiedy wezwano ją do pokoju.

– Jesteście wolni. – Celnik postawił przed Barbarą jej walizkę.

– No i cóż, okazało się, że to jednak nie moje pismo?

– Jesteście wolni, nie mam nic do dodania – powtórzył głośniej i zwięźliwie swoją wypowiedź prawie tak samo donośnym

beknięciem, po którym w pokoju rozniósł się odór silnie doprawionej czosnkiem kiełbasy.

– Czy mój pociąg już odjechał?

– Nie znam rozkładu jazdy na pamięć. Sami się przekonacie.

Barbara wzięła walizkę – tym razem nikt już jej nie pomagał – i wyszła na zewnątrz. Na peronie oczywiście pociągu już nie było. W informacji dowiedziała się, że następny przyjedzie jutro o tej samej porze. Z braku jakichkolwiek ławek przysiadła na walizce i zastanawiała się, jak spędzi tę noc. W komisariacie było chociaż kilka krzeseł, a tu, jak na razie, nie dostrzegła ani jednego. Musiała mieć niewesołą minę, bo sprzątaczką, z wielkim zaangażowaniem rozgarniającą miotłą kurz po całym peronie, zagadnęła do niej. Po wysłuchaniu historii Barbary spontanicznie, bez chwili namysłu, zaprosiła ją na noc do siebie. Mieszkała na tyłach budynku straży granicznej, w drewnianym domku. Choć to zbyt dumna nazwa dla tego pomieszczenia, które było wcześniej składnikiem na narzędzia. Całość miała około dwudziestu metrów kwadratowych powierzchni, przedzielonych na pół, by powstała kuchnia, z dwupalnikową płytą na gaz z butli, miniszafką na naczynia i produkty spożywcze, ale bez zlewu, oraz pokój, z jednoosobowym tapczanikiem, stołem i krzeselkiem, lecz bez łazienki. Woda nie została doprowadzona do komórki i pani Swietłana w celach higieniczno-sanitarnych musiała korzystać z ogólnodostępnej łazienki, położonej przy komórce celnej. Te prymitywne warunki zupełnie jej nie przeszkadzały. Była szczęśliwa, że ma dach nad głową i pracę, za którą otrzymywała co prawda minimalne wynagrodzenie, ale pozwalające nie martwić się, za co kupi kawałek chleba. Do chleba zresztą odnosiła się z wielkim szacunkiem i nim zjadła kromkę, czule ją całowała. Od razu znalazły

z Barbarą wspólny język, kiedy okazało się, że pani Swietłana też przebywała przez rok na zesłaniu w Kazachstanie. Trafiała tam w zastępstwie za syna, a precyzyjniej rzecz ujmując – zastępując syna już nieżyjącego. Jej jednak, walcząc na froncie w szeregach Armii Czerwonej, został ranny i dał się wziąć do niewoli. Ten naganny fakt zawsze piętnowano, za taką postawę groził obóz, a w najlepszym przypadku zesłanie na roboty. Również tym razem wina była niezaprzeczalna, więc i kary nie dało się uniknąć. Tyle tylko, że syn pani Swietłany, na skutek odniesionych ran, zmarł w niewoli. Zdecydowano zatem, iż kara przeniesiona będzie na jego matkę. Bolejąca nad utratą jedyne dziecko kobieta w zastępstwie syna ścinała więc syberyjskie drzewa i spławiła je rzeką przez ponad rok. Po takich przeżyciach drewniana komórka wydawała jej się rajem. Ta pełna serdeczności i bezinteresowności osoba oddała Barbarze swoje jedyne miejsca do spania, a sama miała spędzić noc w kuchni, na starym, podziurawionym sienniku.

Gdy przyszła pora kolacji, na stół powędrowały wszystkie skromne zapasy. Pani Swietłana bacznie pilnowała, by Barbara nie uchylała się od jedzenia.

– Szybko zapełnię spiżarnię na nowo – zachęcała dziewczynę.
– Z każdej pensji mogę przecież coś odłożyć, *nie biespokojties, Basza*. Jedz, bo daleka droga przed tobą, a tam, *w Polsce*, choć podobno lepiej niż u nas, nie wiadomo, czy ruskim ludziom chcą coś sprzedawać.

Barbara nie mogła oprzeć się przekonaniu, że ktoś specjalnie tak pokierował jej podróżą, takimi pokrętnymi drogami ją wiódł do rodzinnego kraju, by mogła poznać tę wspaniałą kobietę. Na pożegnanie nie wahała się podarować jej jednego z wiezionych do kraju upominków. Przeznaczony był dla którejś z sióstr, lecz

była pewna, że pani Swietłanie bardziej się przyda. Następnego dnia, wypoczęta, w świetnym humorze, bowiem spotkania z dobrymi ludźmi, choć rzadkie niestety, zawsze tak na nią wpływały, wsiadła do kolejnego pociągu. Zaopatrzona w zaświadczenie od celnika, mając już w tym względzie doświadczenie, od razu zajęła miejsce odkładane na korytarzu.

Barbara miała dosyć tej podróży, co rusz przerywanej niespodziewanymi zdarzeniami. Gdy jednak ponownie zaczęły wracać do niej obrazy z przeszłości, których najbardziej wyrazistym symbolem był długi, ciągnący się w nieskończoność pociąg, złożony wyłącznie z wagonów towarowych, wcześniej przeznaczonych do przewozu bydła, przestawała narzekać na teraźniejszość. I nawet odkładane krzeselko na korytarzu wydawało się jej najwygodniejszym z foteli. Wojenne podróże pociągami nie skończyły się dla Barbary na tej pierwszej, najdłuższej drodze w nieznanie. Jeździła nimi z siostrami także potem, już po amnestii. Jej ogłoszenie było dla wszystkich wielkim przeżyciem, lecz Barbara odczuła je zdecydowanie inaczej niż reszta zesłańców. Z zazdrością patrzyła na rozradowane twarze sióstr, które po raz pierwszy od śmierci mamy miały tak pogodne miny. Ona była rozdarta wewnątrz i sama nie wiedziała, czego pragnie. Za krajem tęskniły wszystkie, lecz wiadomo było, że prędko go nie zobaczą. Basia zdawała sobie sprawę również z tego, że bez Jurija trudno by jej było żyć. Snuli wspólne plany i mężczyzna nie dopuszczał do siebie myśli, że Barbara mogłaby wrócić do Polski. Nadszedł w końcu czas, gdy musieli podjąć ostateczne decyzje.

We trzy siedziały kiedyś w ziemiance, zmęczone, zaraz po powrocie z pracy, kiedy jak burza wpadła jedna z ich znajomych z wieścią, że można się zapisywać na wyjazd. Hela, najmłodsza

i najbardziej spontaniczna, skoczyła do góry i zaczęła radośnie tańczyć, tak jakby całe zmęczenie nagle gdzieś zniknęło. Wkrótce dołączyła doń Ludmiła, która od dawna w snach marzyła o opuszczeniu tego miejsca i o wymazaniu tego czasu ze wspomnień, choć zdawała sobie sprawę, że to drugie marzenie jest niemożliwe do spełnienia. Wirując w szalonym tempie, zapraszały do tańca Basię.

– Basik, no co ty, nie cieszysz się?

– Chodź do nas, dawno nie było takiego powodu do radości, wreszcie zaczniemy normalne życie!

Barbara wstała, chciała coś powiedzieć, ale... rozpląkała się. Siostry zamarły w bezruchu. Zaczęły ją pocieszać, jednocześnie delikatnie wypytując, co się stało.

– Wiecie, ja już dawno chciałam o tym z wami porozmawiać, ale dotąd nie wiedziałyśmy, co z nami będzie, więc ciągle odsuwałam to na później.

– *Zawtra, zawtra, nie siewodnia* – zażartowała Helena.

– No tak, właśnie tak było. Teraz jednak trzeba podjąć pewne decyzje, więc muszę wam to wyjawić. Otóż... – Siostry wpatrywały się w twarz Basi, jakby za chwilę miały paść słowa zmieniające bieg historii. – Otóż, zakochałam się.

– Hura, hura! – wykrzyknęły obie. – Czym się martwisz? To podobno bardzo przyjemny stan!

– Tak, jedyny w swoim rodzaju... Tylko problem w tym, że zakochałam się w Rosjaninie.

W ciszy, jaka zapadła, słychać było szelest drzew szumiących na zewnątrz.

– Baśka, czyś ty zwariowała? We wrogu się zakochać? – Hela była oburzona.

- No ale chyba nie w Juriju? – Ludmiła nie kryła zdziwienia.
- Właśnie w nim – odpowiedziała Barbara i już było widać, że jej rozterka, będąca dotąd powodem łez, przemieniła się w nastrój bojowy. Była gotowa do końca bronić ukochanego.
- Przecież on mógłby być twoim ojcem, jest taki stary... za stary dla ciebie – tłumaczyła jak dziecku Ludmiła.
- I do tego łysy, pękaty, ślamazarny i wciąż milczący, i...
- Helka, przestań, już wystarczy!
- Dziewczyny, jesteście młodsze i niczego nie rozumiecie
- stwierdziła Barbara. – Po prostu go kocham i tylko to się liczy.
- A on ciebie? – podejrzliwie spytała Ludmiła.
- On... on mnie chyba też.
- Jak to „chyba”? Nie powiedział ci tego?
- Jeszcze nie, ale ja to czuję.
- Oj, Baśka, czuć to można smród, jak się idzie za wojskiem.
- Hela robiła zabawne miny.
- No dobrze – Ludmiła postanowiła uporządkować dyskusję.
- Ty go kochasz, on może ciebie też, ale co z tego wynika? Możecie przecież wyjechać stąd razem.
- O to chodzi, że nie. Jurij jeszcze przez pół roku będzie w łagrze i chce, żebym została tu i na niego czekała, a potem razem pojedziemy do Stalingradu. Tam mieszka jego matka. Zresztą już do niej o mnie napisał.
- I zamieszkacie w Stalingradzie? – Ludmiła zrobiła ogromne oczy. – A dlaczego nie w Polsce?
- Jurij kocha Rosję i nigdy nie zamierza jej opuścić.
- Kocha Rosję, a ta Rosja wsadziła go do obozu.
- On mówi, że nie ma takich poświęceń, których nie warto by było ponieść dla ojczyzny.

– A ty? Czy ty nie kochasz Polski? Masz ją opuszczać, bo on tego chce?

– Dziewczyny, gdyby nie Jurij, być może jeszcze długo siedziałabym w jakimś łagrze, a może jeszcze gorsza kara by mnie spotkała. Będę mu wdzięczna do końca życia. A poza tym... Och, żebyście wiedziały, jakie on wiersze pisze, i w dodatku czyta je głosem tak podobnym do naszego taty! Oczywiście, chciałabym z wami wyjechać, ale nie mogę, całe życie miałabym wyrzuty sumienia.

– A nie będziesz miała wyrzutów, że opuszczasz nas i swój kraj? – Helena wciąż nie mogła zrozumieć siostry. – Wiesz co, przez ciebie ja będę miała wyrzuty sumienia, bo mama przed samą śmiercią prosiła mnie, żebym opiekowała się tobą. A jak będę to mogła robić, jeśli będziemy żyły w różnych krajach? Korespondencyjnie? Teraz liczy się dla ciebie tylko Jurij, a my już nie? Ciekawe, co by tata na to powiedział...

Barbara wyjęła chustkę do nosa, obróciła się na pięcie i wybiegła z ziemianki. Nie wróciły już do tego tematu. I do żadnego innego – była to ich ostatnia wspólna rozmowa, którą wszystkie zapamiętały jako koniec pewnego etapu ich siostrzanego życia. Bieg historii, wydarzenia polityczne i osobiste sprawiły, iż nigdy później się nie spotkały. Przynajmniej do tej pory.

2

Od następnego dnia Ludmiła i Helena zaczęły załatwiać formalności związane z wyjazdem, nie rozmawiając o tym przy Barbarze. Traktowały go jak swoistą, tylko im dwóm znaną,

tajemnicę. Dla Barbary nie było to przyjemne. Mimo że trwała przy swojej decyzji, widocznie przez nią cierpiała. Siostronom udało się dostać do pierwszej tury wyjeżdżających. Oczywiście na razie podróżowanie w stronę Polski nie wchodziło w rachubę. Kazano im wybrać sobie jakieś miejsce w Azji, gdzie chciałyby osiąść już jako, co wciąż podkreślano, wolni ludzie. Rzecz jasna z wolnością nie miało to wiele wspólnego, lecz niosło ze sobą zmianę, a tym samym nadzieję na lepszą przyszłość. W pewnych bowiem sytuacjach nawet samą tylko stagnację rozpatrywać można w kategoriach zniewolenia.

Wybrały Turkiestan. Na drogę dostały buty, pończochy, dowód tożsamości i trochę żywności. Pociąg jadący na południe pękał w szwach. Warunki niewiele różniły się od tych, które były ich udziałem, kiedy rozpoczynały zesańczą dolę, gdy wieziono je w niewiadomym kierunku i trudno im było sobie nawet wyobrazić, co je tam czeka. Wtedy jechały we czwórkę, teraz zostały tylko we dwie. A jednak wracały, jeśli powrotem można nazwać oddalenie się od miejsca, skąd się wyruszyło.

Pociąg poruszał się bardzo wolno ze względu na duże przeciążenie i postoje na każdej stacji. Przystanki przeważnie przeciągały się w czasie w związku z ogólnym chaosem i trudnościami ze sprawnym załadunkiem. Na jednej ze stacji Ludmiła zobaczyła żołnierza ubranego w angielski *battledress*, ale z polskimi naszywkami. W ten sposób dowiedziały się o tworzącej się w ZSRR Armii Polskiej pod dowództwem generała Władysława Andersa. Szczegółowo wypytały o wszystko żołnierza, a ponieważ powiedział im, że przyjmowane są także kobiety i młodzież, do tego za Armią mogą podążać również cywile mający na przykład w oddziale dalekiego krewnego, obydwie napisały podania

o wcielenie ich w szeregi, choć nigdy nie przypuszczałyby, że będą służyć w wojsku. Miały świadomość, że tylko zorganizowane grupy mają szansę dać sobie radę na tej nieprzyjaznej człowiekowi, a Polakom przede wszystkim, ziemi. I tylko takie będą w stanie się z niej wydostać, o czym marzyła większość zesłańców, pomijając nieliczne wyjątki, do których należała ich siostra.

Zapasy żywności szybko się skończyły, tym bardziej że część im skradziono, razem z dowodami osobistymi i wierzchnimi okryciami. W związku z tym na jednej ze stacji Ludmiła, jak wielu podróżnych, wysiadła z pociągu, by zdobyć coś do jedzenia, a Hela, siedząc w przedziale, pilnowała dobytku, który jeszcze im pozostał. Z obładowanych do granic możliwości wagonów na stację wyległy tłumy. Na zakup czegokolwiek, częściej dokonywany nie za pieniądze, lecz w drodze handlu wymiennego, trzeba było czekać, stojąc w okazałych kolejkach. Transakcje się przeciągały, ale nikt specjalnie się nie spieszył, wiedziano bowiem, że z reguły na odjazd ze stacji trzeba czekać bardzo długo. Jakież było więc zdziwienie Ludmiły, kiedy po wejściu na peron zobaczyła, że pociąg już nie ma. Stała jak wryta i nie była w stanie się ruszyć. Z rąk wypadły jej torby i jeden z pakunków potoczył się po peronie. Zaczęła gorączkowo myśleć, co robić. Może biec za pociągiem? Ale musiał odjechać już jakiś czas temu, gdyż nie było nawet słyszeć turkotu kół po szynach. Opadł już specyficzny, kolejowy pył, unoszący się za jadącą maszyną. Nie było szans na dogonienie wagonów. Sensowne wydawało się zdobycie informacji o godzinach przejazdu następnych pociągów w tym samym kierunku, ale rozkłady wiszące na tablicach nijak nie przystawały do rzeczywistości, będąc pozostałością po czasach przedwojennych. O otwarciu okienka z nagłówkiem „informacja”

można było co najwyżej pomarzyć. Ludmiła była załamana. Najpierw Basia się od nich odłączyła, a teraz przypadkiem i one się rozdzieliły. Trudno było przypuszczać, żeby w tym ogromnym kraju kiedykolwiek zdołały się jeszcze spotkać. Uświadomiła sobie, że jedyne, co mogłoby pomóc im w ewentualnym odnalezieniu się, to uporczywe podążanie za Armią Andersa, wszak obydwie złożyły podania o przyjęcie w jej szeregi. Zapewne i ta ostatnia iskierka nadziei zgasłaby, gdyby wiedziała, że miejsc tworzenia się i stacjonowania kolejnych oddziałów było wiele, a odległości pomiędzy nimi pozostawały znaczne.

Ludmiła poczuła się samotna, tak samotna i zagubiona, jak nigdy dotąd. Choć przecież tylu ludzi stało wokół niej. Ludzi, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji. Tęsknie spojrzała w stronę, w którą odjechał pociąg z jej małą Helą – tak o niej zawsze myślała, choć dzieliły je tylko trzy lata. Ona jednak zawsze była nad wiek wyrośnięta, rozsądna i poważna, a Helena – drobna, niewysoka i radośnie trzpiotowata, takie żywe sreberko, którego wszędzie było pełno i bez którego Ludmiła nie wyobrażała sobie życia. Te cechy nie przeszkadzały jednak Heli być najbardziej z całej trójki zaradną.

Ludmiła długo stała na peronie. Pogrążyła się we wspomnieniach i z zadumą zastanawiała się, czy sama da sobie radę. Cóż było robić? Pozbierała prowiant, jeszcze raz tęsknie zerknęła w kierunku, gdzie zniknął pociąg, i udała się na poszukiwanie miejsca, w którym mogłaby spędzić noc.

Kiedy Helena zobaczyła, że pociąg rusza, a Ludka jeszcze nie wróciła, otworzyła okno i zaczęła ją głośno wołać. Inni pasażero-

wie również nawoływali swoich bliskich, którzy zostali na stacji, tak że w tym harmidrze trudno było zrozumieć pojedyncze słowa. W przedziale obok bez opieki została sześćioletnia Ula i jej młodszy brat Krzyś. Bezlitosny turkot kół zagłuszał fale emocji, irytował niezmienną jednostajnością, ale z czasem także uspokajał rozdygotane serca. Pociąg parł do przodu, niczym bezwzględny czas, który równie szybko przecieka przez palce w chwilach trudnych, jak i tych najpiękniejszych. Po trzech dniach dotarli do Turkiestanu. Tam wolnymi uchodźcami z Kazachstanu zajęło się wszechobecne NKWD. Skierowano ich do oberży, w której otrzymali nocleg na podłodze ogromnej sali, wokół stojących na podwyższeniu okrągłych stołów. Większość, zmęczona po wyczerpującej podróży, zaległa na cienkich jak liście matach, nie mając ochoty i sił na jakiegokolwiek działanie. Na ławach za stołami biesiadowali tymczasem okoliczni pracodawcy, tubylczy notable, o zaczerwienionych od dużej ilości wódki twarzach i humorach skorych do niewybrednych żartów. Transport zesłańców był dla nich nie lada rozrywką, urozmaiceniem monotonnego wieczoru. Taksowali wzrokiem przybyłych niczym przywiezione na rzeź bydło, nie szczędząc głośnych komentarzy na temat ich wieku, stanu zdrowia czy urody.

– Ale to babsko ma wystające cycki, warto by je odsłonić! Tylko czemu gęba taka zapadnięta!

– Oj, popatrz, ten muskularny typ ma tylko jedno oko. Nadałby się do roboty, ale będzie pewnie wszystko krzywo ciął.

– Dziewuszka w chustce niczego sobie, ale szara jakaś na twarzy i prawie nie ma zębów.

– Wziąłbym tamtą, wygląda na silną, tyko dlaczego jest łysa?

– A ta to prawie dziecko, do przedszkola ją, nie do roboty!

Helena, słysząc te komentarze, pragnęła uciec jak najdalej z tej okropnej speluny, ale ponieważ nie miała żadnych pieniędzy i musiała jak najszybciej dostać się do jakiejś pracy, by utrzymać się przy życiu, zacisnęła zęby i starała się nie słuchać docinków rozbawionych nietrzeźwych Kazachów. Przydzielono ją do sowchozu zajmującego się uprawą kauczuku. Zamieszkała, jako jedna z robotnic rolnych, w lepiance z gałęzi i błota, której połowę zajmowały świnie. Myślała potem nieraz, że były to jedne z najsympatyczniejszych towarzyszek jej wędrówki z zesłania. Do jej obowiązków należało rychlenie kauczuku, a więc pielenie i spulchnianie ziemi wzdłuż rzędów roślin oraz zbieranie nasion do dalszych zasiewów. Trzeba ich było nazbierać ogromną ilość, by wyrobić normę, a tym samym cokolwiek zarobić. W niedzielę nie było mowy o odpoczynku, bowiem, jak w większości kolchozów, przeznaczano ją na działalność społeczną, co oznaczało taką samą pracę jak w dzień powszedni, ale na rzecz państwa albo Armii Czerwonej. Sytuacja pogorszyła się jeszcze wraz z nastaniem zimy, kiedy to prace polowe ustały i tylko mężczyźni znajdowali zatrudnienie, chociażby przy budowie lub wykańczaniu domów. Kobiety siedziały całymi dniami w lepiankach, głodowały, wpadały w depresję, co sprzyjało rozprzestrzenianiu się groźnych chorób. Helena dwa razy znalazła się na granicy życia i śmierci – ciężko przeszła tyfus plamisty i żółtaczkę. Gdy wydobrzała na tyle, że mogła w jakikolwiek sposób pracować, poszła na służbę do bogatego Białorusina. Jak to często bywa, bogactwu wtórowała pazerność. Mężczyzna wykorzystywał ją do najrozmaitszych prac, płacąc minimalnie i traktując podle, gorzej niż psy, których pięć w ciągu dnia trzymał na łańcuchach, by nocą, puszczone wreszcie luzem, pilnowały jego dóbr, zawzięcie oszczekując każdego, kto

się doń zbliżył. Na szczęście nawet w tych trudnych warunkach zdarzali się przywoici ludzie, którzy nie mogli biernie patrzeć na wykorzystywanie i poniżanie człowieka.

– Ty, dziewczuszka, taka młoda, może chciałabyś się jeszcze pouczyć? – zagadnął kiedyś Helenę nauczyciel-Rosjanin, przygotowujący młodzież do pracy w zawodach potrzebnych w kołchozie.

Zaproponował jej zapisanie się na, rozpoczynający się właśnie, kurs dla traktorzystów. Nigdy nie sądziła, że będzie jeździć po polach i z wysokości szoferki gigantycznego pojazdu patrzeć na rosnące zasiewy. Ale zgodziła się. Nauka szła jej świetnie. Czego nie można powiedzieć w odniesieniu do męskiej młodzieży, przeważnie kozackiej, niezaprawionej w przyswajaniu sobie jakiegokolwiek wiedzy. Po dwóch miesiącach Helena kierowała traktorem perfekcyjnie, może czasem z nazbyt wielką nonszalancją, jak to jej się zdarzało, kiedy jeszcze przed wojną, uwielbiając brawurową jazdę na rowerze, szalała na uliczkach i w lasach podwileńskiej Kolonii Kolejowej.

Kiedy już miała zacząć pracować jako etatowa traktorzystka, odebrała imiennie wezwanie do wojska. Przypomniała sobie, że razem z Ludmiłą na którejś ze stacji wypełniły podania o przyjęcie do Armii Polskiej. Do końca życia nie dowiedziała się, w jaki sposób zdołano ją odnaleźć w jednym z tysięcy kołchozów, w jakie obfitował ten gigantyczny i kiepsko zorganizowany kraj. Kierownictwo sowchozu nie chciało zgodzić się na jej wyjazd. Każdy absolwent kursu był zobowiązany przepracować trzy lata w zawodzie, którego go nauczono. Wydawało się, że wszelkie starania w tej sprawie są skazane na niepowodzenie. Ale i w tym momencie nie opuścił Heleny jej anioł stróż.